



268

Niedawno odbyły się w Warszawie dwie premiery polskich sztuk współczesnych: „Przygody florenckiej” Ludwika Hieronima Morstina w Teatrze Ludowym i „Imion władzy” Jerzego Broszkiewicza w Teatrze Dramatycznym. Obie sztuki zostały przez krytykę przyjęte bardzo życzliwie, oczywiście każda w inny sposób, zależnie od rodzaju, jaki reprezentuje. Jeżeli zaś chodzi o publiczność, to znacznie większym powodzeniem cieszy się „Przygoda florencka”.

Jest to komedia, i to komedia z gatunku tzw. lekkich. Drobne zazdrości i niepokoje dwóch par małżeńskich, związanych ze sobą inną konfiguracją w przeszłości, trochę zachwyty nad własnym krajobrazem i trochę tęsknoty za Polską — wszystko to zostało ułożone w dobrane wypunktowaną akcję i dość zabawne dialogi, podane przez postacie żywe, ale nie zatrzymujące na sobie uwagi. Widz nie musi się męczyć myśleniem i wychodzi z teatru zadowolony. Ogłędalem tę sztukę dwa razy — poprzednio w łódzkim Teatrze im. Jaracza (w reż. K. Łaszewskiego) i teraz w Ludowym (reż. A. Kwiatkowskiego); oba przedstawienia sprawne, oba poświadczały, że utwór ten, odświeżający stare recepty komediowe, napisany jest przez fachowca, niezawodnie wyuczającego potrzeby sceny.

Zupełnie co innego reprezentują „Imiona władzy”. Są to trzy jednoaktówki, powiązane ze sobą... wspólną myślą? — zawahałbym się powiedzieć; chyba raczej wspólna ambicja i wspólnym nastrojem. Niewiele w nich znajdziemy z owych przepisów, polecających, jak należy komplikować i stopniować akcję

dramatyczną. Broszkiewicz nie zdaje się rozporządzać w tej dziedzinie dużą wiedzą i pewnie też ją lekceważy. Konstruuje swój teatr w stylu zbliżonym do awangardowego, odrzuca stare reguły gry i stara się „konflikty postaw” ukazywać w sposób możliwie abstrakcyjny, z odrzuceniem różnych „życiowych” okoliczności i skondensowaniem fabuły do minimum. Konsul rzymski, o którym nie wiemy nic ponadto, że jest zwolennikiem silnej władzy, tłumaczy nam swoje stanowisko w rodzaju monologu. Uproszczony do kształtu masli okrucieństwa król Filip II szuka na schematycznie ukazany sposób dworze hiszpańskim swego następcy. W niewiadomym więzieniu niewiadomego kraju rozgrywa się sprawa między więźniem politycznym a jego dawnym denuncjatorem, który przy zmianie koniunktury sam dostał się za kraty. Wszystko to przypomina laboratorium, w którym odpowiednio spreparowane osoby poddaje się działaniu wybranych odczynników.

Rozpatrując stosunek publiczności do tych dwóch sztuk, można by wysnuwać różne wnioski. Na przykład,

że publiczność woli komedie od tzw. „problemów”. Ale wiele poważnych i trudnych sztuk cieszy się powodzeniem. A może widzowie cenią wyżej tradycyjne formy od nowocześniejszych? Ale tu znaleźć można przykłady, dowodzące czego innego. Nie mo-

# Czego nie należy lekceważyć

gą to więc być jedyne powody. Należałoby jeszcze zapytać, czy przypadkiem realizacja w Teatrze Dramatycznym nie zaszkodziła utworowi Broszkiewicza? Pod tym jednak względem oceny są zgodne: na pewno nie. Można by się uprządkie sprzeczać z reż. Lidją Zamkow, czy interpretacja dwóch pierwszych jednoaktówek nie jest zbyt pompacyjna, zbyt „monumentalnie” upozowana i czy pewne jaskrawe dopowiedzenia były konieczne; doskonałe zharmonizowanie z tonem sztuki dokonuje się dopiero w części trzeciej. Ale te wątpliwości nie mają decydującego znaczenia. Ogólnie rzecz biorąc, teatr wykonał swoje zadanie bardzo rzetelnie, dał interesujące rozwiązania i zaprezentował szereg poważnych ról aktorskich, z przykuwającym uwagę królem Filipem w ujęciu J. Świderskiego na czele.

Teraz już wypadnie poszukać wad w samym utworze. Większość recenzji, z którymi się zapoznałem, nie robiła tego, zafrapowana tematyką, przyciągnięta pytaniem, jakie Broszkiewicz uczynił leitmotiwem swego tryptyku; czym jest władza i czy zaw-

szsze musi ona oznaczać przemoc. Otóż niezależnie od tego, że jest to pytanie pobudzające myśli, jest ono bardzo ogólnikowe i chyba samo przez się nie może stanowić o randze utworu. Negatywna odpowiedź autora na to pytanie (z wypowiedzi niektórych postaci wynika, że może istnieć władza uczciwa, z woli ludu) również nie jest specjalną rewelacją. Cóż, znamy wiele doskonałych sztuk, pod względem myślowym nie wykraczających poza podobne pytania i odpowiedzi. W ostatecznym rachunku sprawa polega przecież na tym, w jakich spieczeniach i konfliktach są owe myśli ukazane. Najbardziej banalne zagadnienie może urosnąć, zaopodniwić obraznie i efektywnymi skojarzeniami, objawić mu się w nowych stu problemach. Jeżeli przy tym widz odczuje te nowe problemy jako zjawisko naturalne, jako konieczną konsekwencję akcji dramatycznej — autor odniósł zwycięstwo.

To poczucie niezbyt często pojawia się w nas w czasie oglądania „Imion władzy”. Przy całej kulturze literackiej i wielu pięknościach utworu jest tam więcej dialogowanej publicystyki, niż naturalnego rodzenia się sytuacji dramatycznej. Tylko drugi „hiszpański” obraz porzywa swoim pomysłem, zwłaszcza w momencie, kiedy na nieprzygotowanego następcę króla spada szaleństwo władzy; i on też świadczy o niewątpliwym talencie dramatopisarskim Broszkiewicza.

Ale talent ujawnia się zwykle w nagłych, krótkich błyskach, a resztę musi wypracowywać technika. Resztę czego? Sukcesu, to na pewno ale nie tylko; między innymi — także resztę głębi myślowej utworu (oczywiście, jeżeli autor ma jakieś myśli). Dlatego czy w starych, czy w nowych formach, czy w lekkiej komedii czy w dramacie należy ona do niezbednego ekwipunku. Technika za każdym razem inna, ale zawsze technika. Wielu naszych autorów lekceważy ją. Nie słusznie.